

29 grudnia upłynie dziesięć lat od Jego śmierci. Waldorff był wielką osobowością, nie ma co do tego wątpliwości, ale czy w czasach, gdy to pojęcie się zdewaluowało, gdy w dziesiątkach telewizyjnych kanałów nadających reklamy i programy, w których tych samych kilkanaście osób na zmianę śpiewa, tańczy, recytuje i jeździ na łyżwach, słowo „osobowość” ma jeszcze jakieś znaczenie?



Mój prywatny Waldorff

Mariusz Urbanek

To była książka, która wymagała ode mnie i od wydawcy odpowiedzi na podstawowe pytanie: komu tak naprawdę potrzebna jest dziś książka o Jerzym Waldorffie i czy w ogóle jest jeszcze komukolwiek potrzebna?

Czy ludzi mających jeszcze w uszach charakterystyczny tembr jego głosu, emfazę, z jaką wypowiadał nawet najzwyczajniejsze myśli, ceniących jego przedwojenną elegancję, jest wystarczająco wielu, by książka obroniła się na rynku, gdzie coraz więcej i coraz piękniejszych książek się wydaje, ale coraz mniej się ich czyta?

Rasowy celebryta

Jak rasowy celebryta uczynił z części swojego życia przedmiot wiedzy wszystkich Polaków. Ale tylko tej części, którą chciał ujawnić. Cała Polska kibicowała mu, gdy zbierał pieniądze na wykupienie zakopiańskiej willi „Atma” z przeznaczeniem na muzeum Karola Szymanowskiego, gdy walczył o godny pomnik dla marszałka Piłsudskiego, a zwłaszcza gdy rozpoczął swoją prywatną kampanię o ratowanie Powązek. Potrzebował widowni, która oklaskiwałaby jego polemiki i potyczki toczące na łamach prasy, w radiu i telewizji. I tę widownię miał. Nie dlatego, że wszystkich ciekawiło to, o czym mówił, bo i wtedy, i dziś muzyką poważną interesuje się bardzo szlachetna, ale na pewno mniejszość. Dlatego, że mówił o tym tak, jak nikt ani przed nim, ani po nim. Z pasją, ostro, czasem agresywnie, zawsze dowcipnie i barwnie...

Ale czy Waldorff dziś, pozbawiony tego wszystkiego: głosu, intonacji, gestu, pasji, dowcipu, anegdot, nadal jest ciekawy? Zwłaszcza dla tych, którzy nie mogli go już usłyszeć albo słuchali zbyt krótko, by dziesięć lat po jego śmierci móc przywołać w uszach charakterystyczny głos? Oni potrzebowali Waldorffa innego. Nie tego, którego znali ich rodzice i dziadkowie, w fotelu, z laseczką i jamnikiem Puzonem u boku, przekonującego, że

muzyka łagodzi obyczaje, choć sam był tej tezy największym zaprzeczeniem. Bo w swoich polemikach, nawet na tematy muzyczne, nie używał harfy i skrzypiec, ale bębnow i kontrabas. Tamten dawny Waldorff pozostanie już na zawsze własnością ludzi, którzy go takim właśnie zapamiętali. Ludzi, którym swoim zachowaniem, manierami, językiem, kulturą pomógł przetrwać czas Peerelu. Pokazał im, że można znaleźć dla siebie miejsce nawet w ustroju, który obrażał go samym swoim istnieniem...

Mistrz medialnej awantury

Był jednak jeszcze Waldorff inny. Człowiek, który mimo wielkich sukcesów i miłości, jaką darzyli go Polacy, borykał się ze swoim życiorysem. Jego adwersarze, nie mogąc poradzić sobie z mistrzem medialnej awantury w inny sposób, wypominali mu błędy, które popełnił. Bo błędy były. Ale to właśnie czyni biografię Jerzego Waldorffa ciekawą. Ideał jest zwykle nudny, dopiero zakręty, które musi w życiu pokonać, wzloty i upadki, momenty wstydlive i heroiczne, sąsiadujące z sobą działania szlachetne i podłe, słowa mądre i głupie czynią człowieka prawdziwym. O świętych można powiedzieć wiele dobrego (i o tym są właśnie hagiografie), ale reszta jest o wiele bardziej zajmująca.

I życie Waldorffa takie właśnie było. Flirt z faszyzmem w latach 30. minionego wieku (w tym słynna apoteoza Mussoliniego pt. „Sztuka pod dyktaturą”), spora teczka antysemitycznych artykułów z endeckiej prasy, kilka tekstów antykościelnych – wcale nie „średnio niecnych”, jak się usprawiedliwiał – z przełomu lat 40. i 50., a nawet niektóre teksty o gwiazdach muzyki poważnej, w których nie kierował się bynajmniej obiektywnymi kryteriami, lecz absolutnie prywatną, nieobiektywną sympatią. Czasem wynikało to z głębokiego przekonania, czasem z wyrachowania, a czasem ze zwykłego strachu przed mechanizmami historii mogącymi zgnieść największego. Był w tym wszystkim bardzo

prawdziwy i szczerzy, nawet jeśli po lekturze niektórych jego tekstów skóra dziś cierpnie.

Dla dzisiejszych czytelników Jerzy Waldorff był najciekawszy, gdy zmagał się z historią XX wieku. Połączył w swojej biografii trzy Polski: II i III RP oraz PRL, w każdej szukając i znajdując swoje miejsce. Przez pół wieku po wojnie kreował swój wizerunek i chciał, by weń wierzono; do końca ten portret kontrolował. Na tyle skutecznie, że dla wielu osób do dziś jest to portret jedynie prawdziwy. Chciałem sprawdzić, jak było naprawdę. I miałem nadzieję, że wędrowka drogą, którą przeszedł Waldorff, ciekawa dla mnie, będzie ciekawa także dla czytelników.

Partner na życie

Pisanie biografii jest tym trudniejsze, im więcej ludzi ma bohatera książki w żywej pamięci. Im liczniejsze jest grono tych, którzy go znali, pracowali z nim, mają na jego temat własne przemyślenia i oceny. Jedni, zwykle ci, na których autorowi najbardziej zależy, niechętnie ulegają prośbom o wspomnienia, inni bardzo chcą mówić, ale nie mają nic do powiedzenia. Tak mogło być i w tym wypadku. Na szczęście ci najważniejsi: Barbara Kuklasińska, siostrzenica Waldorffa, najbliższa z żyjących krewnych, Jerzy Kisielewski, który odziedziczył przyjaźń Waldorffa po ojcu, Zofia Kucówna, bardzo blisko z nim zaprzyjaźniona przez wiele lat, chcieli rozmawiać.

To nie były łatwe rozmowy, zwłaszcza kiedy przychodziło pytać o sprawy osobiste. Te, które Waldorff przez całe życie utrzymywał w największej dyskrekcji. Tak wielkiej, że podczas uroczystości pogrzebowych ówczesny premier zapytał: „A gdzie jest żona pana Waldorffa?”. A przecież żony nigdy nie było. Był mężczyzna, z którym przeżyli razem 61 lat.



Waldorff przez pół wieku kreował swój wizerunek i do końca ten portret kontrolował. Na tyle skutecznie, że dla wielu osób do dziś jest to portret jedynie prawdziwy

Zofia Kucówna do końca miała wątpliwości, czy powinna o tym opowiadać, zastrzegając, co wolno mi opublikować, a co ma pozostać tylko do mojej wiadomości. Już po ukazaniu się książki zadzwoniła: „Bardzo pięknie pan o tym napisał”. Jeśli tak, to się udało. Bo dla mnie od początku historia związku Jerzego Waldorffa i Mieczysława Jankowskiego była opowieścią o wielkiej miłości. Tak też, sądząc po recenzjach, a przede wszystkim komentarzach internautów na kilku forach odebrali ją czytelnicy.

Świadek historii

Okazało się więc, że Jerzy Waldorff jest ciągle potrzebny. Książka, będąca na rynku od jesieni ubiegłego roku, doczekała się właśnie siódmego dodruku. Myślę, że w pierwszym rzucie kupili ją ci, którzy kierowali się sentymentem, po nich jednak sięgnęli po nią młodszy, nie pamiętający już Waldorffowych audycji w telewizji ani felietonów w „Polityce”. Oni sięgnęli po opowieść o świadku historii, który stanął wobec najtrudniejszych wyzwań XX wieku i musiał za każdym razem znaleźć na nie odpowiedź. Czasem lepszą, czasem gorszą, ale zawsze prawdziwą.

To było niełatwe, bo niełatwa była epoka, w której Waldorffowi przyszło żyć. Na dowód anegdota, która nie znalazła się w książce. Nie zdążyłem odszukać jej w rocznikach gazet; utknęła w jednym z felietonów, przysypana setkami innych artykułów.

Lata 80. XX wieku, sytuacja w Polsce tak kiepska, jak tylko kiepska mogła być w tamtych czasach. Tatry. Przewodnik, stojąc przed turystami, wśród których jest Waldorff, snuje opowieść o śpiących pod skałami Giewontu rycerzach, którzy mają się zbudzić dopiero, gdy kraj znajdzie się w potrzebie. Opowieść przerywa sceniczny szept Waldorffa, którym potrafił zagłuszyć pełny głos niejednego mówcy: „To na co oni jeszcze, k..., czekają?”. Anegdota pasująca nie tylko do czasów, w których musiał żyć Jerzy Waldorff. ←

Mariusz Urbanek jest autorem książki „Waldorff. Ostatni baron Peerelu”, która ukazała się nakładem Wydawnictwo Iskry. Napisał również książki biograficzne „Wieniawa. Szwoleżer na Pegazie”, „Zły Tyrmand”, „Kisiel”, „Piłsudski bis” oraz wiele publikacji o Wrocławiu, w którym mieszka. Obecnie pracuje nad książką o Władysławie Broniewskim.

Jerzy Waldorff z Mieczysławem Jankowskim

